ROK VI. CHICAGO, dnia 26-go LIPCA, 1888. **No. 30**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.
All comunications must be adressed:

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 26 Lipca	Anny, Matki N.M.P.	Mirosława.
Piątek, 27 lipca	Jakunduna i Pantaleona.	Wszebór.
Sobota, 28 lipca	Innocentego p. i Peregryna	Swiętomir.
Niedziela, 29 lipca	10-ta po Sw. Marty i Serafiny	Cieplisława.
Poniedziałek, 30 lipca	Rufina i Abdon.	Ludomir.
Wtorek, 31 lipca	Ignacego Lojoli.	Zdobysław.
Sroda, 1 sierpnia	Piotra ap. w okowach.	Rolisław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ X-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XVIII. od w. 9 do 15.

W owym czasie rzekł Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby sprawiedliwymi byli, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwóch ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili, jeden Faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Boże! dziękuję Tobie, że nie jestem jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Poszczę dwa kroć w tydzień, i daję ze wszystkiego, co mam, dziesięciny. A celnik stojąc z daleka, nie chciał podnieść oczu w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu. Powiadam wam: ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego. Albowiem ktokolwiek się podwyższa, będzie poniżon a ktokolwiek się uniża, będzie podwyższon.

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

W tych przypadkach cierpienia i nieszczęścia mężnie i po chrześciańsku znoszone znaczą tyle przed Bogiem co dobre uczynki. Takie cierpienia zawsze wyjdą człowiekowi w końcu na dobre i wielkie przynoszą pożytki. Nie przeczę, aby ten i ów i bez tych doświadczeń i prób bolesnych nie mógł żyć poczciwie; wszakże twierdzę, że na to otrzymuje ich sporą miarkę, ażeby tem świetniej, tem wdzięczniej jaśniał w zastępach Swiętych Pańskich w niebiesiech. Wszakże krzak róży najprzód kolce wypuszcza, a potem dopiero piękny i wonny kwiatek. Słuchaj, Bóg chce cię kiedyś bardzo pięknemi niebieskiemi kwiatami róż ozdobić i uwieńczyć, i dla tego to koronuje cię tutaj na ziemi kolcami. Ztąd też P. Bóg już od dawna ma ten zwyczaj, że swym ulubieńcom i swym faworytom przypina najpierw ordery boleści i krzyże cierpień. Do N. Maryi P. Anioł powiedział: „Łaskiś pełna, Pan z tobą,“ a w 33 lat potem stała pod krzyżem, z którego krew najmilszego Jej syna spływała obficie. Do Apostołów powiedział P. Jezus: „Będziecie siedzieli na 12 stolicach“, a po jego Wniebowstąpieniu żydzi i poganie robili obławy na Apostołów i mordowali ich jak dzikie zwierzęta. Męczenników Bóg często przez rozliczne cuda przed ludźmi sławił i uświetniał, a jednak i oni musieli bolesną i okrutną śmiercią ginąć. Na górze Tabor zajaśniał Pan Jezus cudowną, Boską pięknością, a głos Boży z nieba dał się słyszeć: „Oto jest syn mój miły, w którymem sobie upodobał.“ A patrzaj w kilka tygodni potem wisiał ten Syn najmilszy przedwiecznego Ojca na krzyżu i nie miał kawałka szmaty dla pokrycia swej nagości. Słuchaj jak z krzyża w bolesnych mękach śmierci się odzywa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił.“ Rozważ to wszystko dobrze, bracie mój, a nie szemraj, nie narzekaj, kiedy cię Bóg nawiedza jaką kleską, i nie mów jak ślepy i niewierny poganin: ‚a czy ja na to zasłużyłem?“ Nie zapominaj tego nigdy, ani,

teraz, kiedy ci już coś dopieka, ani też później, kiedy jaka zła przygoda przyjdzie; nie zapominaj tego, że jeśli tych utrapień i tego ucisku nie będziesz znosił z chrześciańską uległością i cierpliwością, to ci się i tak na nic nie przydadzą twoje narzekania i szemrania, a są tylko jakby pożerającym cię ogniem piekielnym. Przeklęty w piekle wije się i ryczy z niewymownych udręczeń, i w straszliwej rozpaczy bluźni Bogu, przeklina ojca i matkę, przeklina brata i siostrę, przeklina wszystkich okropnie. Słuchaj, bracie, co mówię: jeśli dusza twoja w cierpieniach krzywi się na Boga i powstaje przeciw niemu; jeśli modlitwa ci się przykrzy; jeśli się odzywasz bezbożnie: Cóż mi pomoże modlitwa i wszystkie pacierze? Bóg się już nie troszczy o mnie; kiedy zazdrość za oczami ci siedzi i z ukosa patrzy na sąsiada, na jego dobrobyt i na jego rumiane i czerstwe dzieci, i myślisz: toć on przecie gorszy sto razy odemnie, a tak mu wszystko dobrze się wiedzie; kiedy już winem lub gorzałką frasunek i troski zalewasz, kiedy przeklinasz, że aż strach słuchać, plugawemi i sprosnemi słowami kalasz uczciwe uszy, a to wszystko, aby okazać swe niezadowolenie, swoją złość i zawziętość ku Bogu, który przypuszcza na cię jakie przygody! kiedy w końcu nieznośnym się stajesz dla każdego; wtenczas chodzisz już w ciemnościach piekielnych; wtenczas już poczynasz wtórować potępieńcom w ich piekielnym śpiewie, już myślisz jak oni, robisz jak oni i jesteś tak samo nieszczęśliwy, tak samo bezbożny jak oni. Zagaś i przytłum czemprędzej te piekielne płomienie w duszy twojej. Cierpienia na ziemi nie mają być piekłem dla ciebie, ale czyścem. Przyjmuj je chętnie i znoś cierpliwie jak dusza w czyścu, a one będą dla ciebie pewną drogą do nieba. Znoś je cierpliwie, bez skarzenia się; znoś je pobożnie i spokojnie. Ale tu mógłbyś sobie pomyśleć, a nawet mi zarzucić: „to wszystko prawda; to się bardzo łatwo tak mówi i słyszy się też mile; ale tak każdy mógłby mi prawić, jeśli sam żyje w wygodzie; ale niech mi powie, jak te rady i wskazówki wykonać, kiedy człowiek jest w niedoli i w ucisku? To prawie niepodobna człowiekowi, tego licho kto dokaże,“ Na to odpowiadam ci: prawda, że

samemu ciężkoby było tego dokazać, ale ja znam takiego, który jest gotów ponieść i dźwigać twój krzyż, zwłaszcza odkąd sam na skrwawionych swoich ramionach bardzo ciężki krzyż dźwigał, idąc przez ulice wielkiego miasta Jerozolimy aż na górę Kalwaryą. Ten tylko czeka na to, abyś go uczciwem i pięknem słowem poprosił, a zaraz rękę swą przyłoży. Módl się otóż do P. Jezusa, aby ci pomógł nieść ciężar krzyża twego, a jeśli tylko usilnie go błagać, jeśli gorąco modlić się będziesz do niego, to P. Jezus z pewnością albo przynajmniej tyle ci go ulży, iż cię już tak mocno przyciskać nie będzie.

Ale przypuśćmy, żebyś dzisiaj umarł i zaraz po śmierci dostał się do nieba; powiedz sam, czyżby ci się to nie wydawało milszem i pożądańszem nawet, wiele cierpieć tu na ziemi, byle tylko pójść do nieba za to, aniżeli ciągłe mieć tu rozkosze, ale przyszłość bardzo niepewną? Więc nie utyskuj i nie szemraj, jeśli Ojciec Niebieski dopuszcza niekiedy i na krótki tylko czas cierpienia i uciski, bo za to wiecznie dobrze ci będzie i wiecznie będziesz szczęśliwym. Przeciwnie lękaj się bardzo, aby tak się nie stało z tobą, jak się stało z owym bogaczem, coś go to widział w piekle na czerwonej aksamitnej kanapie, to znaczy, lękaj się, żeby ci tu na ziemi nie szło wszystko dobrze i pomyślnie, ale potem wieczne nastąpiły cierpienia i męki. Wszelako mógłbyś mieć jeszcze dwie wątpliwości co do tych cierpień i udręczeń na ziemi, więc i te chciałbym usunąć, chciałbym ci je z korzeniem wyrwać ze serca. Mógłbyś mi bowiem tak powiedzieć: „dobrze, już i przyznaję, że te cierpienia są prawie niezbędnie potrzebne do szczęśliwości, ale czemuż to P. Bóg więcej ich zsyła na mnie, niźli na innych ludzi“? Na to twoje pytanie mógłbym ci krótko odpowiedzieć, że nie wiem, dla czego, gdyż człowiek nie jest ani doradzcą ani sekretarzem, ani ministrem P. Boga. My ludzie w obec Boga jesteśmy tak głupi i tyle wiemy, co w porównaniu do ciebie zna twój chłopczyk, który ledwie rok skończył i kilka głosek poznał.

Ciąg dalszy nastąpi.

WYROK NA ŚMIERĆ.

Dokończenie.

III.

Po pogrzebie Magdy wielkie męczarnie cierpiał ksiądz proboszcz. Lubo bowiem los polecił Bogu i bez bojaźni patrzał w przyszłość, ogarnęły go jednak jakieś zmartwienia ztąd pochodzące, że mu parafianie niedowierzać poczęli, a sam nawet sędzia, który go po kilka razy brał na przesłuchy a nie mógł go nakłonić do zeznania morderstwa, wziął go w mocne podejrzenie. Współbracia okazywali mu dowody pożałowania, ale parafianie stronili od niego. Najwięcej ubolewał nad tem, że daremnie pracował; nikt bowiem nie przychodził do spowiedzi, nikt na nabożeństwo i kazanie, a nawet dziatki, które go dawniej jako ojca kochały, przestały uczęszczać na naukę chrześciańską. — Zmartwiony kapłan prosił Boga o ukończenie nieznośnego położenia, wolał bowiem zginąć śmiercią, aniżeli dłużej cierpieć te męczarnie. Wysłuchał go P. Bóg.

Ku wieczorowi pewnego dnia przejeżdział nakryty powóz przez wieś i prosto zajechał przed plebanią. Ciekawy lud garnął się za nim. Stangret zeskoczywszy z kozła otworzył powóz a z niego wysiadł zbrojny żandarm i zakołatał do drzwi. Ksiądz proboszcz słysząc turkot woza, wyjrzał oknem i zbladł, gospodyni otwarła drzwi i z krzykiem cofła się do sieni, żandarm wszedł za nią. Na chwilę panowała cichość w pokoju księdza, niezawodnie żandarm pokazał mu rozkaz aresztowania. Nie długo potem wyszedł ksiądz z żandarmem i oba wsiedli do powozu, który stangret zamknął, ciął biczem i odjechał. Gospodyni pokazała się z łzami w oczach na podwórzu i wróciła do sieni, ciekawi sąsiedzi rozeszli się z wolna. W następne dni nie mówiono we wsi o niczem, jedno o aresztowaniu kapłana. W sobotę przybył zastępca na miejsce uwięzionego proboszcza.

Długo nie było słychać o toczeniu się sprawy sądowej, lecz różne roznieciały się po wsi pogłoski, które bezecny Janek rozsiewał, że proboszcz za zabójstwo siedzi w więzieniu

okuty w kajdany. — Lecz nie za długo przyszła kreska i na Matyska; albowiem zbrodniarz przechulawszy skradzione pieniądze, wrócił do dawnego niegodziwego rzemiosła t. j. kontrabandowania na granicy i do leśnej kradzieży. Strażnicy czatowali za nim, lecz nie mogli go odrazu złapać, bo miał palną broń przy sobie i postrzegli jednego strażnika. Napadnieni dali także ognia, skaleczyli złoczyńcę i teraz dopiero okuli go w kajdany i odprowadzili do kryminału.

Właśnie gdy się sprawa Janka toczyła przed sądem; siedział proboszcz o zabójstwo obwiniony w więzieniu. Po przeciągu sześciu miesięcy zgromadzili się na początku stycznia przysiężni w mieście, w celu publicznego działania kryminalnego, i zaraz pierwszego dnia miała się toczyć sprawa proboszcza Józefa Prawika. Zabójstwo zawsze ma jakiś interes dla publiczności, zwłaszcza tu, gdzie ksiądz miał być zbójcą. Już tedy dawno przed otwarciem posiedzenia zgromadziła się wielka liczba ludzi na podwórzu i na korytarzach przed salą sądową, począwszy od pospólstwa aż do świetnego państwa. Rozmowa toczyła się po cichu, bo obawiano się mówić głośno o podłym zbrodniarzu kapłanie, lecz dały się słyszeć i złe języki, które bez ogródki mówiły o zdarciu maski pozorownej pobożności. — Skoro otwarły się drzwi, szturmem napełniła się sala, wstąpili także i sędziowie i przysiężni poważnym krokiem i zasiedli około czarno nakrytego stołu. Dwaj żandarmi zbrojni wprowadzili kapłana w kajdany okutego, który wycieńczony długiem więzieniem, zbledniały zmartwieniem siadł na ławicy delikwentów i w głębokiem zostawał milczeniu. Na ławicach świadków siedzieli rębacze, którzy zabitego znaleźli w lesie, wójt gminny, krewni zabitego, stara gospodyni i kościelny. Na stole przed świadkami leżały różne narzedzia jako to: kij gruby, bilet i trzos zamordowanego, brewiarz i sutanna obwinionego kapłana.

Teraz prezydent zagaił posiedzenie odczytaniem skargi, grobowa cichość panowała w sali. Nastąpiły przesłuchy każdego świadka z osobna. Nikt nie mógł wprost obwinić oskarżonego, bo nikt nie był obecny przy zabójstwie, ale

wszystkie okoliczności zgadzały się, na to, że kapłan musiał być mordercą. On sam zeznał rzeczywiście, że w onej nocy w towarzystwie kościelnego szedł przez las na górę do chorej Magdy a sam jeden powrócił nazad. Dodał i to, że w samej chwili popełnienia mordu stanął przed mordercą, że go istotnie zna z osoby, ale wyjawić go nie może. Prezydent zaklinał go, aby wydał zbójcę; lecz on stanowczo odparł, że tej tajemnicy nie wykryje, chociażby ginąć miał śmiercią. Ta stanowcza odpowiedź podziwieniem napełniła słuchaczy, nikt bowiem nie mógł pojąć, jakoby człowiek swoje życie mógł łożyć dla ocalenia winowajcy od śmierci; zresztą byli i tacy, co mówili, że to tylko czcze wybiegi, że nie może wyjawić nikogo; ponieważ sam jest mordercą.

Publiczny oskarżyciel powstawszy na końcu działania długą powiedział mowę walną, w której dowodząc winy odwoływał się szczególnie na zbroczoną sutannę, na znaleziony brewiarz, trzos i bilet, aby przekonać przysiężnych, iż nikt inny nie mógł być mordercą, jak sam ksiądz proboszcz. — Toż samo uczynił i obrońca obwinionego odwołując się na dobre świadectwo z strony Biskupa, współbraci kapłanów i parafian, na dotychczasowe wzorowe życie kapłana i wniósł naostatek, że obwiniony dla braku dowodów uwolniony być powinien od kary.

Przysiężni wyszli do przyległego pokoju w celu wzajemnej narady i wydania wyroku, delikwenta odprowadzono tymczasem do więzienia. Narada trwała długo, bo przysiężni nie mogli się pozbawić wątpienia. Nakoniec otwarły się drzwi, przysiężni wstąpili z powagą do sali i usiedli znów na swych miejscach. Wrzawa panująca w sali ucichła. Teraz podniósłszy się z krzeszła arbiter (ten co w imieniu innych przysiężnych miał rozstrzygnąć sprawę) i położywszy rękę na serce wyrzekł głośno: „Winien jest śmierci!“ — Krzyk rozległ się po sali, prezydent zadzwonił, stała się cichość. Po krótkiem milczeniu ogłosił prezydent obecnym: że kapłan ma być ścięty mieczem na publicznem miejscu miasta. Znowu powstała wrzawa, która dopiero wtenczas ucichła, gdy wprowadzono delikwenta.

Właśnie teraz chciał mu prezydent ogłosić zapadły wyrok, gdy przed salą dały się słyszeć mętne głosy. Jakiś człowiek gwałtem wdzierał się do sali, znagła roztwarły się drzwi na oścież, człowiek w siermiędze więzienia wpadł do sali w kajdany okuty a wraz z nim dwaj inni, którzy go mocno trzymali za barki.

„Panie prezydencie!“ — krzyknął więzień — „broń mnie od tych oprawców i pozwól mi mówić. Wyłamałem się z więzienia i przyszedłem tutaj zdać świadectwo o niewinności.“

Delikwent poznawszy głos mówiącego podniósł nań oczy, raz się zarumienił, raz zbladł.

„Co chcesz?“ — zapytał prezydent więźnia, na co tenże natychmiast odpowiada: „Puśćcie na wolność kapłana, on niewinny, ja jestem mordercą, ja zabiłem w lesie Hatwika tym kijem, co tu oto leży skrwawiony.“

Sędziowie i przysiężni wzdrygli się na te słowa, publiczność osłupiała a z ławicy świadków zabrzmiał krzyk bolesny, stara gospodyni zemdlała. Kościelny zaś zerwawszy się z miejsca przypadł bez ducha do więźnia uściskawszy go zakrzyknął z radości: „Janku — kochany Janku! Bóg ci zapłać za to świadectwo i za wyratowanie mojego pana!“

Złoczyńcy stanęły łzy w oczach a prezydent wzruszony tem niespódzianem zeznaniem nakazał dzwonkiem milczenie i kazał rzecz całą opowiedzieć więźniowi, który tak mówić zaczął:

„W dzień przed popełnionym mordem, spotkałem w lesie obcego człowieka, z którym wdałem się w rozprawkę. On pytał się o księdzu proboszczu jak o dawnym przyjacielu swoim i dodał, że się nazywa Hatwik i ma zamiar kupić sobie w okolicy jakie gospodarstwo. Mówiliśmy dalej o tutejszych stosunkach i o cenach pola i słyszałem, że ma znaczną sumę pieniędzy przy sobie. Natychmiast napadła mnie myśl nieszczęsna, złupić i jeśliby potrzeba wymagała zabić tego człowieka, lecz pora nie była mi pomyślna i zaniechałem tego. On poszedł do wsi, ja nie spuściłem go z oka. Wieczorem spotkałem go znowu poza wsią i namówiłem go pójść

ze mną do jednego gbura, od którego mógł za tanie pieniądze kupić zagrodę. Ponieważ ks. proboszcza nie znalazł u siebie, poszedł zemną obcy do jednego chłopa, z którym byłem spomierzonym, i który zemną podzielić miał łupież. Obcy musiał nas obydwóch mieć w podejrzeniu, bo nie chciał tu zostać; lecz my namówiliśmy go, aby zanocował a nazajutrz przyrzekliśmy mu pójść z nim na zakupienie gospodarstwa. Umieściliśmy go w komórce za żelazną kratą w oknie i zamkli drzwi zaporą mocną. W nocy wkradłem się po cichu do komórki w celu złupienia jego, lecz obcy nie śpiący wywinął mi się pod rękami i — uciekł. Ja pośpieszyłem za nim i zdybałem go w lesie podczas gwałtownej burzy. Tu złapałem go i żądałem, aby mi dobrowolnie oddał trzos z pieniędzmi, lecz on począł się bronić i oskarżeniem grozić. W tem podjąłem kij gruby i uderzyłem go mocno w czoło. Właśnie gdy padł trupem, nadszedł niespodzianie ks. proboszcz, którego poznałem w świetle błyskawicy. Zląkłszy się, chciałem uciekać, ale chciwy pieniędzy odpiąłem trzos zabitego i zagroziłem księdzu śmiercią, gdyby mnie chciał wyzdradzić. Zgryzoty sumienia pędziły mnie niepewną drogą, aż stanąłem pod chatą matki na górze. Wstąpiwszy do chaty spostrzegłem na barłogu trupa a obok niego śpiącego kościelnego, który mnie nie pomiarkował. Wypadłem znów z chaty a nie wiedząc, co począć i obawiając się zdrady księdza, postanowiłem i onego zamordować. Z tą bezbożną myślą udałem się na probostwo, lecz gdy spostrzegłem tu księdza modlącego się na kolanach, brakło mi odwagi do spełnienia zbrodni. Znów wróciłem do lasu a tu nastręczyła mi się myśl inna, jakobym się mógł zabezpieczyć od zdrady. Nad samem ranem poszedłem do kościoła a znalazłszy tu chłopca kościelnego posłałem po księdza, aby mnie przyszedł słuchać spowiedzi. Wyznałem zbrodnię i przez to zamknąłem kapłanowi usta, wiedząc, że tej tajemnicy wyjawić nie może. A gdy w przeciągu dnia dowiedziałem się, że podejrzenie mordu padło na proboszcza, pomnożyłem je jeszcze przez to, że wrzuciłem trzos próżny do ogrodu. — To jest szczera i rzeczywista prawda, panie prezydencie! jaka się w

dalszem śledztwie okaże. Jestem uwięziony za inne drugie zabójstwo na całe życie. W więzieniu dowiedziałem się, że ks. proboszcz znajduje się w niebezpieczeństwie, sumienie nie dało mi spokoju, wyłamałem się i przybyłem na złożenie świadectwa dla niewinnego. Oto kark mój, bierzcie go za kark księdza.“

To zeznanie niewymowne sprawiło wrażenie na obecnych, każdy podziwiał wiernego kapłana, który wolał śmiercią ginąć aniżeli wykryć tajemnicę spowiedzi. Prezydent zaś powstał z krzesła i rzekł wzruszony: „Księże proboszczu! nowe ma się teraz zacząć śledztwo, podczas którego powinieneś jeszcze zostawać w więzieniu; lecz na mocy mego urzędu puszczam cię na wolność!“

Tak zakończyło się posiedzenie kryminalne. W sali panowała radość powszechna, panie wywijały chustkami, panowie wykrzykiwali z zapałem, kościelny rozczulony rzucił się w objęcie swego pana ze łzami w oczach a na podworcu lu upojony radością, niewinnego pasterza podjął za ręce i zaniósł do kościoła, gdzie odprawiło się świetne Te Deum.

Cała wieś jakąś uroczystą przybrała postać, wesołe wykrzyki i strzelania dały się słyszeć w około, a probostwo przystrojone było w maiki i kwiaty.

Trzy miesiące później padł wyrok śmierci na Janka, który przyjął go bez szemrania, tyle tylko sobie wymawiając, aby ks. proboszcz odprowadził go na miejsce stracenia, co teoże ochotnie uczynił. A gdy głowa zbrodniarza padła pod mieczem kata, miał kapłan tę nadzieję, że Janek z skruszonem sercem przeniósł się do wieczności.

RÓŻA LEŚNA.

Powiastka z życia Indyan amerykańskich.

Dokończenie.

— Niech ich licho porwie, tych czerwonoskórych czartów, — odezwał się jakiś głos, — nie mało mu oni dosadzili. Ale czekajcie hultaje, nie ujdzie wam to na sucho!....

Karól pomimo omdlenia słyszał ten głos, lecz mu się zdawało, że to złuda, gdyż głos ten był głosem Boba. Ale w tej chwili rozległ się odgłos wystrzału, który natychmiast przywołał go do przytomności.

Jakby zelektryzowany zerwał się na równe nogi, jeszcze w sam czas, aby mógł widzieć, jak Indyanie rozbiegli się z kupy, a dwaj z nich zaryli się w trawę.

— Dwóch na jeden strzał, ha! ha! ha! — śmiał się Bob, którego teraz Karól dojrzał w obłoku dymu, — ale to mało; czekajcie hultaje, mam w drugiej lufie jeszcze jednę kulę.

I znowu padł strzał, i znowu Indyanin zarył się w ziemię.

— Z takimi hultajami, jak wy, śmiał się dalej Bob, — dam sobie radę!

Bez namysłu obrócił strzelbę kolbą naprzód i dał kilka kroków przed siebie. Ale dwaj pozostali Indyanie nie czekali natarcia tylko co żywo umknęli.

— Jak te tchórze uciekają! — śmiał się znowu Bob i przystanął, bo uważał za niepotrzebne gonić uciekających.

Potem zwrócił się do Karóla.

— No, mój chłopcze — rzekł, — kalkuluję, że ci ta gonitwa nie źle przypieprzyła!... Ale tyś skrwawiony!... — przerwał sobie nagle Bob, widząc krew na prawej stronie głowy Karóla.

— To nic, Bobie — odrzekł tenże z uśmiechem, ściskając ręce przyjaciela, — to nic, to tylko podrapanie i rany się już jutro zabliźnią. Ale zkąd to, że się tu znajdujesz? Uszom moim nie chciałem uwierzyć, gdym twój głos usłyszał. Przybyłeś mi też w sam czas na pomoc; sekundę później a już byłoby po mnie.

Bob zaczął się śmiać tak serdecznie, że aż oczy jego schowały się pod gęstemi brwiami.

— Wierzę, wierzę, mój chłopcze, — rzekł, — że zjawiłem się, jak anioł stróż. Lecz czemu ja tu jestem? no, to zawdzięczasz tej tam!...

Po tych słowach pochwycił go za rękę i sprowadził z pa-

górka. Ledwo tylko stanęli u stóp zarosłego wzgórza, gdy Karól zobaczył ku swemu zdziwieniu trzy osiodłane konie, a rozpromieniona Róża leśna wyszła mu naprzeciw.

— A więc bladolicy zrozumiał poselstwo Attahiby? — rzekła.

— Attahibo! — zawołał młodzieniec z czułością, i pochwycił jej rękę, — a więc po raz drugi zawdzięczam ci życie!

— Już dobrze! — przerwał mu Bob rozweselony, — ona to jest, której życie zawdzięczasz. Już w nocy po mej ucieczce przyprowadziła konie do lasu, abyś mógł uciec, i przy tej sposobności zeszła się ze mną. Ale twój upór popsuł nam plany. — Tak więc czekałem jeszcze dzień cały, aż dziś na południe przybiegła do mnie Attahiba i powiedziała, że postanowiono z tobą odbyć wyścigi, i że tylko cię można uratować, jeźli na jakiem umówionem miejscu będą na cię oczekiwały konie. Umówiliśmy jako stósowne miejsce ten tu pagórek. Z pomocą Attahiby przeprowadziłem tajemnie konie, aż tu dotąd i wszystko się udało. Lecz teraz siadajmy na koń i uciekajmy, bo... oto patrzcie... cała gromada Indyan wali się na nas. Nim oni się wrócą i dosiędą koni, już my będziemy za górami, gdyż Attahiba wybrała najdzielniejsze rumaki.

W samej rzeczy ujrzano teraz cały hufiec Komanszów biegnących pieszo. Zapewne dosłyszeli strzały i spieszyli z pomocą. Uciekający nie zważali jednakże na nich, gdyż w tej chwili już dosiadali koni.

— Attahibo! — zawołał z cicha Karól, — wszakże z nami pojedziesz?

Attahiba skoczyła lekko i zgrabnie na konia.

— Czarne pióro wyrzekł się córki i odepchnął ją od siebie, — rzekła ze spuszczonemi oczyma, — Attahiba nie ma ojca i córka Komanszów, musi opuścić swe pokolenie, a szukać nowej rodziny we wigwamach bladolicych.

— Więc zawierz mi, Attahibo! — zawołał młodzieniec z uczuciem, — ja ci stworzę nowe szczęście i nowe życie!...

I jakby na komendę wszystkie trzy konie ruszyły z kopyta, niosąc uciekających przez step ku wschodowi, gdzie

się znajdowały osady europejskie. Jeszcze tylko czas niejaki słyszano za sobą wrzaski i wściekłe wycie,—lecz wkrótce i to ucichło.

* *
*

Minęło od tego czasu już kilka miesięcy. Pomiędzy wolnem państwem Texas a Komanszami przyszło do porozumienia i miano w mieście San Antonio pociągnąć granicę pomiędzy posiadłościami Texańczyków a Komanszów. Ku temu celowi Czarne pióro wraz ze swą radą przybył do miasta, a oprócz tego mnóstwo farmerów z okolicy. Widać także było i traperów z ich do sześciu stóp długiemi karabinami oraz ze szerokim nożem na niedźwiedzie, utkwionym za pasem skórzanym. Był tam także i Bob, a obok niego Karól, ale nie w ubiorze trapera, tylko zamożnnego farmera texańskiego. Przy boku jego stała prześliczna niewiasta indyańskiego pochodzenia w ubiorze strojnym texańskich farmerek.

Była to Róża leśna.

— Odwagi, Attahibo! — szepnął Karól czule, — ojciec twój ci przebaczy i odzyskasz spokój.

Właśnie przechodził Czarne pióro. Jego wzrok sokoli poznał natychmiast znane mu twarze, ale oczyma swemi spojrzał na nich ponuro. Wtedy dostąpili Karól i Attahiba i położyli swe ręce na jego ramionach.

— Ojcze, jam twoja córka,—wyjąkła wzruszona Attahiba.

— Czarne pióro nie ma córki, — odrzekł tenże ponuro trzęsąc głową, — Attahiba opuściła i jego i pokolenie.

— Przebacz ojcze, przebacz, — błagała Attahiba, — nie mogłam uczynić inaczej. Musiałam pójść za bladolicym, któregom sobie wybrała, a którego wy wbrew prawom jednak zabić chcieliście.

— Wigwam Czarnego pióra jest opustoszały, — zaczął znowu smutnie naczelnik, — głos Attahiby w nim się nie rozlega, córka naczelnika Kamanszów już mu ziarn nie tłucze, ani mu nie szyje mokasynów.

— A owóż patrz, ojcze! - zawołała Attahiba — oto mokasyny, którem dla ciebie zrobiła.

I przy tych słowach roztworzyła pakiecik, wydobyła z nich parę cudnych perłami sadzonych mokasynów, które ojcu przywiesiła do pasa.

— Jak się te zużyją — dodała, —zrobię ci nowe. Ale ojcze, przyrzecz mi, że skoro przybędziesz w nasze strony, wstąpisz do naszego wigwamu i spać będziesz przy naszem ognisku!

Chwilę stał Czarne pióro nieruchomy, jakby się namyślał, a potem w milczeniu podawszy rękę Attahibie i Karólowi, ścisnął z lekka, i odwróciwszy się znikł pomiędzy swymi wojownikami.

— Przebaczył! — szepnął Karól uszczęśliwionej Attahibie w ucho, a przytuliwszy do siebie, serdecznie uścisnął swą niegdyś wybawicielkę, a teraz najukochańszą małżonkę.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

O ognistych znakach na Niebie, i o wojskach, co szły przez kraj polski.

Roku 1811. ukazały się na Niebie ogniste znaki, na które Lud patrzał z przerażeniem przez wiele tygodni, bo widzieli oczywiście znak Boży, że jak na Niebie tak i na ziemi krwawo będzie. Upatrywali ognistą rozgę i krwawy miecz i z trwogą oczekiwali zstąpienia tych znaków kary Bożej na ziemię. Niedługo też wyruszył Napoleon na czele 500 tysięcy wojska, prowadząc ze sobą półtora tysiąca armat, a koło mięsopust 1812. roku wstąpił na ziemię księstwa Warszawskiego. Byli w tem wojsku Włochowie, Hiszpani, Francuzi, Austryacy, Prusacy, i inne Narody niemieckie, bo na rozkaz Napoleona wszyscy wojska dostawiali. Jak świat światem po drugi raz dopiero ludzie tyle wojska na raz widzieli. Wszystko się to waliło przez naszą biedną Polskę, gdyż Napoleon ochraniał krajów Ojca swojej żony Austryaka, bo wiedział, że gdzie tyle wojska przejdzie, tam ciężko rość i trawie. Oj była też to nędza i zniszczenie; gdzie przeszedł Francuz, albo Włoch to jeszcze pół biedy, bo się obszedł z Polakiem, jak z bratem, pożywił się czem było, podziękował i poszedł dalej. Ale Niemcy rabowali, niszczyli, zagrabiali wszystko, jak w nieprzyjacielskim kraju, a Lud

prosty widząc, że to napoleoński żołnierz, przeklinał za to rabusiostwo Francuzów, bo owe Niemcy często udawali Francuzów, chociaż po francusku nie umieli, chyba klątwę jedną i drugą.

Choć ponosili takie ciężary, krzątali się jednak Polacy koło zbierania własnego wojska, którego dostawili 85 tysięcy, aby jeno pobić co najprędzej Moskwę, a odebrać, co swego. Zebrał się też sejm w Warszawie i okrzyknął Polskę całą i niepodległą, wzywając braci będących jeszcze pod obcem jarzmem, aby się z nimi łączyli.

Dowiedziawszy się Napoleon o tem, kazał Polakom powiedzieć, żeby o tej części, co przypadła Austryi wcale nie myśleli, a on sam nie może jeszcze Polski uznać przed światem wolną i niepodległą, bo nie wie, co po bitwie wypadnie, czy ją samym Polakom do rządzenia odda. Martwiłać Polaków ta nieszczerość Napoleona, ale się z tego cieszyli, że już ich teraz poddawać Moskwie nie może,jak to po dwa razy zrobił.

Szło a szło to wojsko napoleońskie przez księstwo Warszawskie, a było na co i patrzyć, bo to Lud zebrany ze wszystkich Narodów, co najzdrowszy i co najrodniejszy; a u jednych mundury ślicznego koloru, jak modraki, drudzy w zieleni, jak w Maju,inni ciągną na siwych koniach w czerwieni, jak jagody jarzębiny,inni znowu biali,szarzy, czarni i jakie jeno kolory na świecie — wszędzie trąby, bębny, muzyka, chorągwie, świecących się od złota Jenerałów, książąt i królów.

Patrząc na to wszystko, aż się w oczach ćmiło i mięszało w głowie, żeby rozpoznać i pamiętać, z jakich krajów te wojska, jak się nazywają ci bogato wystrojeni książęta i Jenerałowie. Ciągnęło to wojsko przez wiele tygodni nakoniec w wilią Św.Jana Chrzciciela, to jest 24. Czerwca przeszło rzekę Niemen, a w kilka dni potem wjechał Napoleon do stolicy Litwy Wilna.

O wojsku polskiem pod Poniatowskim i Dąbrowskim i o niekarności napoleońskiego żołnierza.

Wojska polskiego szła większa część z Napoleonem pod dowództwem książęcia Poniatowskiego; reszta zaś poszła pod Jenerałem Dąbrowskim na zdobycie różnych fortec.

Wojsko napoleońskie już na ziemi Litewskiej poczęło doznawać niedostatku, bo tu nikt naprzód o jego żywieniu nie radził, więc bez ładu zabierał żołnierz wszystko, aby wyżywić siebie i konia. Siekli oźminy na paszę, zaledwie jeszcze wygrane zabierali zboża i inwentarze, tak że pierwsi co przeszli, mieli do zbytku, drudzy mieli dostatek, trzecim już

się nie wiele co okroiło a reszta zastała głód i nędzę. Niedługo też wkradły się między ludzi i konie choroby i wnet wszystkie domy, gdzie przechodzili, pełne były chorych żołnierzy, a drogi zasłane zniszczonymi końmi. Wszyscy już z tego widzieli, że to nie ten Napoleon, jak kiedy toczył wojny za całość swojej Ojczyzny: wtedy o wszystkiem naprzód pomyślał, a żołnierz sam porządku i karności przestrzegał.

Bije Napoleon Moskali, i spieszy się do stolicy.

Tracąc tak żołnierzy po drodze, zbliżył się Napoleon do wojska moskiewskiego, które stało gotowe do bitwy. Niedługo bawiąc, zbił ich Napoleon, a oni poczęli się spiesznie cofać, niszcząc za sobą kraj i żywność. Dotarł Napoleon za nimi pod dawne miasto polskie Smoleńsk i tu się rozpoczęła krwawa batalia w dwa dni po Matce Boskiej Zielnej, to jest 17. Sierpnia. Wiele tysięcy ludzi tu padło, bo samych naszych Polaków do dwóch tysięcy, ale Napoleon ze wszystkiem batalią wygrał i Moskale tak nocą uchodzili, że po nich ani znaku. Po tem wielkiem zwycięztwie rznie się Napoleon ku stolicy Moskali, które to miasto nazywa się Moskwa. Ale wojska co dzień mu ubywa, ludzie i konie marnują się z niedostatku, już go prawie i połowę nie masz, bo gdzie Moskale prześli, tam trudno pożywienie znaleść, tylko wsie i miasta popalone, w nich ludzie zgłodniali i nędzni. Pilno więc Napoleon spieszy do Moskwy, bo to miasto wielkie, starożytne, i bardzo bogate; posili się tam wojsko i wypocznie przez całą zimę. Jego żołnierze wszyscy to powtarzali, i nie jeden słaby i chory, dobywał ostatnich sił, byle się jeno dowlec do Moskwy. Kilka mil przed Moskwą, pod miastem Mozajskiem, wielkie wojsko Moskiewskie zachodzi im drogę. Rozpoczyna się krwawa i zacięta bitwa, o jakiej mało kto słyszał, bo Moskale bili się z ostatnią rozpaczą, gdyż wiedzieli: że jak Napoleon wprowadzi swoje wojska do Moskwy, a tu sobie wypocznie, na ten czas już po wszystkiemu, bo zwojuje cały kraj. Ale biło się i napoleońskie wojsko zażarcie, aby się jeno dostać do Moskwy, boć nie chciało z głodu i chorób wyginąć do szczętu, a biło się lepiej niż Moskale, bo zwyciężyło. Zginęło w tej bitwie Moskali do 50 tysięcy, a napoleońskiego wojska do 20 tysięcy. Polacy bili się już najodważniej, a książe Józef Poniatowski przed nimi na czele. Przypinał im też po bitwie Napoleon swoją ręką krzyże, a kiedy objeżdżał pobojowisko to widział: że gdzie leżał zabity Polak, to koło niego położeni byli trupem trzej albo czterej Moskale. C. d. n.